

FRANCISZEK LACHOCKI

NA BRZozOWEJ  
KORZE

Zamiast kwiatów  
na 60-tą rocznicę małżeństwa  
ten tomik dedykuję —  
żonie.

OPiM

---

LONDYN 1980

Copyright © by Franciszek Lachocki

Okładkę projektował  
Stanisław Kornecki

Printed by Poets' and Painters' Press  
146 Bridge Arch, Sutton Walk, London, S.E.1. 8XU. England.

I

PO MUCH BRZĘCZENIU

## NA KRAKOWSKICH BŁONIACH

Poszły Krakowianki, gdy już zboże zżęto,  
na łąki po kwiaty na Maryi święto.

Bo nigdzie tak błogiego nie spotkasz ustronia,  
jak na polskich łąkach, na krakowskich błoniach.

Podszedł do nich podróżny, w sandałach na nogach.  
zakurzone miał szaty od pyłu na drogach.

Zbliżył się, po polsku dziewczęta przywitał,  
pogłaskał po główkach i tak je zapytał:

„Dla kogo te kwiaty, dla kogo te wianki?“  
„Dla Matki Boskiej Zielnej“ — odrzekły Krakowianki.

Aż poznały w nim Chrystusa i zaczęły klękać,  
bo widziały rany na świętego rękach.

Na klęczkach się modliły słowami pacierza,  
a On: „Będziecie miały z Wadowic Papieża“ —

powiedział i zniknął. Krakowianki, w trwodze,  
długo o tym mówiły w swej powrotnej drodze.

W październiku 1978 r.

## ONEGO CZASU...

Zdarzyło się, gdy Maryja  
na nocleg stanęła w stajence,  
spełniły się dni i urodził się  
Synek Najświętszej Paniencie.

Złożyła go w żłobie, przykryła  
sianem, bo nic innego nie miała  
i taką mu kołysankę  
do snu po polsku śpiewała.

Śpij dziecinko, mój maleńki,  
słodkie oczka zmróz,  
my do domu znów wrócimy,  
gdy się zapiszemy już.

W Nazarecie mamy domek,  
własny, piękny, swój...  
Śpij syneczku, mój maleńki,  
śpij, syneczku mój!

Nie odbierze nam nikt domu,  
jak Polsce Polesie, —  
mocą swoją Ty to sprawisz,  
że Bóg zabór zniesie.

## PO MUCH BRZĘCZENIU ...

Po much brzęczeniu poznaje się lato  
i po rozkołysaniu ciepłych fal powietrza ...

Gdy zobaczysz na drzewie już śliwkę pyzatą —  
z naszych pól złocistych, aż do Świętopierza  
poleci ktoś z kluczem gęsi w jesieni  
i osiadzie w Rzymie ...

Coś się zmieni,  
bo w Wiecznym Mieście zabłyśnie  
nasze  
polskie  
imię.

Po much brzęczeniu poznaje się lato,  
a wiosnę zwiastują kwiaty ...

Łatwiej wielbłąd  
przez ucho igielne przejdzie,  
niż do nieba wejdzie bogaty.

## PAJĘCZYNA

Zakrzęła w powietrzu nić,  
siatka,  
pułapka,  
misterne arcydzieło...  
Kto to buduje?  
Pająk.  
Ale skąd się wzięło?  
Czyja w tym ręka?

Przed Nią trzeba klękać!

Nie wiedzą o tym tylko ślepi...

Skąd pająk wiedział,  
że mucha tędy poleci  
i do siatki się przylepi?

Ale Ten,  
Kto dał mu ten zmysł i moc,  
On ziemię też obraca —  
I daje:  
dzień  
i noc.

## WIELKANOCNA PORA

Wiosna. Coś się w świecie dzieje.  
Szpaki pstrokują już na łące.  
Gorzkie żale w kościołach...  
Z każdym dniem ciepleje.  
Pączkują różne krzewy,  
najpierw jednak pnące:  
wisterie i klematysy,  
nowalijki na stołach,  
a na wierzbach bazie...

Tyle na razie.  
Gdy dnia więcej przybędzie  
i słońce w ziemię mocniej uderzy,  
zazieleni się wszędzie.  
Zakwitną peonie,  
zimotrwałę goździki,  
bzy, niezapominajki, maki  
i jaśminu krzaki,  
mniejsze i te duże.

Teraz kolej na róże,  
kwiaty dostojne,  
okazałe,  
królewskie:  
herbaciane, duże  
i rosa canina,  
małe, witaminowe...  
Już po Wielkanocy  
i blisko najkrótszej nocy.

Ot, i lato już niedaleko,  
tuż, tuż za lasem, albo za rzeką.



## POEZJA

Wypłynęli rybacy-handlarze  
na połów,  
na morze,  
zarzucili sieci  
i — złowili —  
poezję.

Jeden mówi: sprzedamy.  
Inny twierdzi:  
nie wolno duchem handlować,  
jeśli to duch,  
puścić, niech leci.

A trzeci —  
tak im radzi:  
Zawieźć tę Rusałkę,  
tego ducha bez kości,  
te słoneczności  
i powrzucać do domów,  
niech i ludzie prości  
mają po kilka tomów.  
Niech szumią im falą,  
niech zakwitną im kwieciami,  
niech się serca zapalą  
lepszym życiem na świecie.

II

Z M A G A N I A

## RZECZPOSPOLITEJ

Poszli chłopcy i starsi szukać swego kraju,  
w nocy, przez granice, wszędzie, gdzie się dało,  
spotykali się z braćmi gdzieś na dróg rozstaju  
i tak się z sobą zmawiali, by mieć Wolną i Całą.

Aż do Norwegii zaszli, w śniegu po kolana,  
a inni do Egiptu, do Tobruku, w piaskach —  
i zawsze stała przed nimi Jej postać świetlana,  
sprawiedliwa, wolna i w promiennych blaskach.

Dotarli i do Anglii, w powietrze się wznieśli,  
na skrzydłach walczyli i zawsze tylko dla Niej —  
i z imieniem na ustach Nazareńskiego Cieśli  
w płomieniach umierali dla ukochanej Pani.

Pod ciężkim butem Teutona, w niemieckich obozach,  
odchodzili do nieba z dymem, przez kominy,  
tak samo jak ich bracia w syberyjskich mrozach,  
umierali dla Polski — bez żadnej przyczyny.

A ci co pod Katyniem, drutem skępowani,  
legli w jednej mogile, postrzelani w lasku,  
i tam życie oddali dla najdroższej Pani,  
dla Polski całej i w wolności blasku.

A ile naszych braci obca ziemia przykryła  
pod śniegami Sybiru, w północnej równinie?  
Wie o tym historia i wie że Polska była,  
że jest, żyje — i nigdy nie zginie.

Tak niezłomni synowie Piasta-Kołodzieja  
Polskę mają na ustach, w niej są zakochani —  
i wiedzą, że zawsze, w tysiącletnich dziejach  
byli Jej oddani, Najjaśniejszej Pani.

## CO NAM POWIEDZĄ?

Co nam powiedzą samotne mogiły,  
które za wschodnim parkanem zostały, —  
nagrobki na nich pewno się skruszyły  
i lzy na tych mogiłach też wyparowały?

Co nam powiedzą owe lasy podszyte  
do których się chodziło nieraz na wycieczkę —  
i te łąki poleskie, kwiatami pokryte —  
i ścieżki, po których biegano nad rzeczka?

Co nam powiedzą zamknięte kościoły  
i lud żyjący bez wzniosłości ducha —  
i te polskie dzieci, których polskiej szkoły  
do dziś pozbawiła wojenna zawierucha?

Co nam powiedzą bracia Białorusy,  
z którymi dzieliliśmy przez wieki kęs chleba? ...  
A gdzie są na świecie takie lniane obrusy  
i gdzie jest taki drugi jasny błękit nieba?

## BĄDŹ POZDROWIONA!

Co czuje żywe drzewo — grusza —  
gdy krew w niej od mrozu się ścina  
i nerwy rwą się na strzępy? ..

Najpierw jest chyba ból tępy,  
w końcu — śmierć biała...

Tak umarła w zimie czterdziestego roku  
grusza, bardzo młoda, p a n n a,  
jeszcze mała...

Umarła,  
bo jej nikt na zimę nie otulił,  
słomą nie ogarnął...

Oplakujemy ciebie, gruszo,  
wojny ofiario,  
pieszczotko nasza,  
dziewico!

Odeszłaś nastolatką...

Nie poznaliśmy nawet  
smaku owoców twoich,  
cierpiętnico...

Wiemy tylko, żeś zginęła,  
umarła, wyschła, zbiełała,  
czy zbladła...

O, bądź pozdrowiona za to,  
żeś żywą  
im w ręce —  
nie wpadła!

## W ANGLII

Nie łatwo stąd Polskę zobaczyć,  
bo mgła gęsta  
i nasz Kraj daleko.  
Mogily tylko widać,  
które tu się mnożą  
jak niezapominajki nad rzeką.

Ale nie nad Tamizą,  
która z tego słynie,  
że raz w kierunku do Polski,  
to znów  
z powrotem płynie.

We mgle, z domieszką sadzy,  
tylko swary starców,  
niezgrabne, nie ustają.  
Snują oni jakieś zatwardziałe  
marzenia o władzy.

A te niezapominajki  
żyją nadzieją —  
i tam, w nadwiślańskim kraju,  
w oczekiwaniu — niebieścieją.

Wymrą tej wyspy przybysze,  
pokolenie fatalne,  
nostalgiczną mgłą owiani,  
na cmentarzach się pokładną,  
a dla tubylców,  
na mogiłnych kamieniach —  
pozostaną tylko...  
nazwiska niewymawialne.

## ZAWSZE W NOCY

Komu dziś się mówi o tym, mało kto w to wierzy,  
bo też i wy łatwo w to nie uwierzycie.  
Równy o północy wchodzi dwóch żołnierzy,  
zabiera z domu — i już na całe życie.

I bez powodu, bez racji czy przyczyny, —  
okupacyjna przemoc, wyższość siły w łapach...  
Do dziś mam jeszcze w pamięci obraz tej godziny:  
sztyki na wintówkach i gwiazdy na czapach.

Była Wielka Sobota, noc — święta, uroczysta,  
Chrystus w kościele za nas na krzyżu umierał...  
Pogoda była piękna, cicha i gwiaździsta,  
księżyc promieniami o nasz dach się opierał.

Pamiętna noc marcowa czterdziestego roku,  
ostatnia w domu. Wyrwany z swego gniazda,  
prowadzony pod strażą, z myślami w natłoku —  
wiedziałem, że nie prędko odejdzie czerwona ta gwiazda.

I nie odeszła. Cały świat do niej się tuli,  
a ona: obezwładnia, głuszy i sens zmienia,  
promieniami sięga po całej ziemskiej kuli,  
już nigdzie czerwonego nie braknie imienia.

A co z tego wyniknie? Kto ten węzeł rozwiąże?  
Nikt nie może pewnej dać nam odpowiedzi.  
Może — zanim wiersz ten zakończyć ja zdążę,  
ktoś stanie z grzechami przed Bogiem do spowiedzi.

## BEZ PORÓWNIANIA

O czym można mówić stojąc przy wieżowcu  
w dumnym Nowym Jorku, rozchełstany mieście,  
bo tu nie tak jak u nas — w Płocku, czy Sosnowcu,  
tu się łatwo podrapać, jak w krzakach, w agreście.

Mów im o Warszawie, że leżała w gruzach,  
że miasta i wioski — to pogorzeliiska...  
Oni mało wiedzą nawet o Francuzach,  
a co dopiero nasze, słowiańskie nazwiska.

Ojczyzna, to dla nich słowo zagadkowe,  
bo o której mowa w tym splocie narodów,  
a w razie nieszczęścia, tylko w piasek głowę  
chowają jak struś, nawet bez powodów.

O, gdyby wasze miasta zamieniono w gruzy,  
a ludzi pognano aż do Kazachstanu,  
wtedy byście wiedzieli, opasłe miętuzy,  
co to jest ojczyzna i racja stanu.



## DOM RODZINNY

Czasami widzę nasz dom,  
mówią mi, że jest wiekowy.  
Gdyby był tu, przeznaczono by go na złom,  
a tam — i stary służy jak nowy.

Tak. Służy. Nawet nie wiemy komu,  
nie znamy jego mieszkańców nazwiska,  
wiemy tylko, że my nie mamy domu,  
ani nawet — jak po pożarze — popieliska.

Spłonął bez ognia. Po prostu — zabrali.  
Powieźli nas gdzie chcieli, pod strażą,  
a domu — nawet nie pokwitowali...  
I tylko — zapomnieć o nim każą.

A przecież — mój ojciec, ja i nasze dzieci  
w tamtym domu się rodziły —  
i księżyc nocami nam tam świecił,  
słońce wschodziło i godziny były...

Aż wybiła ta ostatnia, równo o północy,  
pożegnało się dom pod sztykami straży,  
jak złodzieje skradli nam dom pod osłoną nocy,  
by nie było widać zapłakanych twarzy.

I dziś tu, z takiej odległości czasu,  
odgrodzeni wielką wodą, oceanem,  
czasami się przyśni cienistość poleskiego lasu  
i ten dom nasz rodzinny, gniazdo niezapomniane.

## BEZDOMNY

Zapytywano mnie nie raz —  
jak tam teraz, co tam teraz?  
Ani podróżni, ani sąsiedzi,  
nie mogą dać odpowiedzi,  
mówią tylko: dom stoi,  
choć połowa pokoi —  
twierdzą — nie do użycia...  
Co mi z tego odkrycia?  
Ja chcę wiedzieć — czy drzewa  
jeszcze żyją, czy śpiewa  
chór, jak wtedy, w kościele,  
czy owoców jest wiele  
i czy lipa, ulicy ozdoba,  
nadal się wszystkim podoba?  
Czy drzewa kwitną w maju  
jak wtedy? Z kraju  
wieści dolatują różne,  
ale co mi to daje? Jałmużnę?  
Wolałbym już nic nie wiedzieć...  
Najlepiej — chyba — powiedzieć:  
Nasz dom, z drzewami i rzeką,  
tak już jest daleko,  
jak gdyby na innej planecie,  
albo — że go już nie ma na świecie,  
że wpadł do morza, utonął,  
albo — że bez ognia spłonął...

W pamięci — jestem bezdomny.

## POZOSTAŁO TYLKO W PAMIĘCI

Idę przez wioskę —  
we wspomnieniach,  
gdzie kiedyś chodziłem.  
Jakież tam wtedy  
było życie boskie!?!...  
Kury gdakały,  
słysząc było krów poryki,  
czasami psów w nocy wycie...  
Takie było ich życie.

W polu słyszało się śpiew żeńców,  
a w nocy, pod lipą,  
można było podpatrzyć  
uściski oblubieńców  
w szarym mroku...

W dzień słyszało się  
klekot bociana,  
świergot ptaków  
i pisk jaskółek  
na każdym kroku...

A ile żydowskich jarmulek  
przewijało się przez chaty  
kupując co było do sprzedania?...  
Przyjeżdżał nawet Jankiel brodaty,  
co sprzedawał ołówki, zeszyty,  
wstążki, naparstki, igły  
i mydło do prania.

W niedziele  
siadali sobie gospodarze  
gdzieś na przyźbie przed chatą  
i gwarzyli o tym,  
że komuś koñ okulał,  
że za tanio ktoś sprzedał ciele,  
że Maryna osnuła już krosna...

To znowu,  
że za zimna była wiosna,  
że Michałowi co roku  
braknie chleba na przednówku...  
I tak sobie gadali  
od południa aż do zmroku.

A co teraz?  
Nie ma nic.  
Wioski nie ma,  
wojna ją zniosła,  
a na tym miejscu,  
na opuszczonej glebie,  
dzika trawa wyrosła...

I jeszcze jedno pytanie:  
A gdzie są ludzie?  
Niektórzy w niebie,  
a inni —  
w Kazachstanie.

III

NA BRZOWEJ KORZE

## WIERZĘ

Ja już pieśnią nie jestem,  
ani zbiornikiem śpiewu,  
tylko liści szelestem,  
żniwem dawnego siewu.

Jestem dawną pamięcią  
spisaną na papierze  
i opatrzoną pieczęcią  
na zbiorze, nazwanym „Wierzę“.

Wierzę w ptaków ćwierkanie,  
wierzę w wolność zwierzyny,  
wierzę w czyste kochanie  
i w dziewiczość dziewczyny.

Wierzę w bochenek chleba  
na stole u rolnika  
i wierzę, że do nieba  
nie przyjmują grzesznika.

Wierzę w majestat lasu,  
królestwo spokoju i ciszy,  
gdzie tylko od czasu do czasu  
przelot ptaka się słyszy.

Wierzę w jaskółcze gniazda  
pod strzechą gdzieś przyklepione  
i wierzę, że jasna gwiazda  
zaświeci i w naszą stronę.

Wierzę w słowika, co nuci  
miłosną pieśń w ciągu nocy  
i że Polesie wróci  
do Polski z Bożej mocy.

Ze złączy się kiedyś z Macierzą,  
bo polskie szumią tam drzewa,  
bo nasi ojcowie tam leżą,  
po polsku skowronek tam śpiewa.

Ze polskie są tam kościoły  
i kilkustuletnie mogiły  
też polskie. Niech będą i szkoły,  
by polską kulturą świeciły.

## PINA

To nie jest imię dziewczyny  
wśród Anglo-Sasów znane,  
to rzeka z poleskiej równiny  
w szuwarach i mszarach schowana.

W bagnach ta rzeka się rodzi,  
przez mszary przepływa,  
nikt nie wie skąd nazwa pochodzi,  
wiemy tylko, że leniwa.

O nazwę pytać się trzeba  
szuwarów, co przy niej rosną,  
lub tych, którym chleba  
zawsze brakuje wiosną.

Lub cyraneczek, co wieki  
żyją tej rzeki płodem,  
czy wreszcie samej rzeki,  
gdy się łowi niewodem.

Tu w lecie mgły i opary  
na wskroś przemoczą rybaka,  
a w zimie znowu czahary  
zdradą straszą spod krzaka.

Bronią do rzeki dostępu,  
do przerąbli, do więcierzy, —  
trzeba na kęp skakać z kępu  
przez czaharów obrzeży.

A gdy się omknie w wypadku  
do bagna któraś noga,  
to już polecisz, bratku,  
wprost przez czahary do Boga.



## POHULANKA

Las tak się nazywał,  
rósł, nie odpoczywał.

Gdy się zmęczył w biegu,  
to schował się w śniegu.

Przyszła wiosna, ruszył,  
w koronach się napuszył.

Słońce chwycił, zbierał  
i w pniach się rozpierał.

Zrzucał w dół szypułki —  
na ziemię, dla ściółki.

Grzyb na tym wyrastał  
dla wsi i dla miasta.

Podmiejska „Pohulanka“,  
to korzyść i sielanka.

## SZEPTEM, Z PAMIĘCI

Kraino przeszłości, w pamięci szeptem tylko istniejąca,  
tak mi stoisz w oczach jak przechodzeń w bramie,  
bo ta pamięć, choć stara, ciągle jest gorąca  
i tak silna, że nic już jej nie złamie.

Las staje mi w oczach — czarem, tajemnicą,  
maślaki obok lasu wabią oko smakiem,  
a co my mamy w zamian — tutaj, za granicą?  
Ciasta cukrem oblane, posypane makiem?

A jaka jest woń siana gdy się łąkę skosi,  
gdzie taki zapach w nowym kraju spotkasz?  
A czy oni biegali kiedy po łące rano bosci?  
Nie. I nie wiedzą jaka to jest rozkosz słodka.

I nie znają smaku marchewki wyrwanej w ogrodzie,  
oskrobane, schrupanej, — jak się u nas zdarzało,  
żyją na „hotdogach“, musującej sodzie  
i na ciastach tak słodkich, żeby aż kapą.

A gdzie są leśne maliny, poziomki pachnące,  
gdzie kryniczna woda co płynie bez licznika? ...  
O tym wie nasza pamięć, nigdy nie niknąca  
i zbolełe serce uchodźcy-pokutnika.

## JAGODY W LESIE

Kto im każe tam rosnąć?  
Samoistność dojrzewania,  
królewskość smaku...

Łatwe do zbierania,  
po kilka na krzaku.

Najpierw pszczoły:  
nektary dla tej muchy...

A potem,  
gdy już nie ma szkoły,  
przyjdą dziewczuchy  
na świętobranie —  
po jagody  
o królewskim zapachu  
i dziewiczej urody: —

p o z i o m k i.

## RZEKA W NOCY

Czy kto był na Prypeci?  
Przy niej torf w nocy świeci  
fosforową zielonkawą obrzęką,  
nawet gdy dotkniesz ręką.  
Takie dziwne świecenie  
na niczyje życzenie.  
Muł przy torfie jest grząski...

W wierzby starej gałązki  
księżyc wplata się blaskiem...

A tam dalej, pod laskiem,  
słyszać słowika trele.  
Kto wie jakie ma cele,  
że nie śpi a śpiewa.  
A może on tak ziewa?...

Rzeka cicha jest w nocy.  
Dopiero po północy,  
gdzieś we wsi, o staje,  
kogut piąć nie przestaje,  
kilkakrotnie powtarza to pianie,  
aż zobaczy świtanie.

Wtedy i rzeka się zbudzi  
po przybyciu tu ludzi:  
słyszać wron krakanie  
i wiosła na rzece pluskanie.

To rybacy z wiossek, z obrzeży,  
płyną do swoich węgierzy.

## PODLEWANIE

Czekają cierpliwie rośliny każdego popołudnia,  
wie o tym przyczajona w swej głębinie studnia.  
Więdną peonie, a najbardziej chryzantemy...  
Dostaniemy trochę wody — płaczą — dostaniemy.

Aż poszło wiaderko w zagłębienie studni, —  
dudni, za chwilę pluska, a potem znowu dudni.  
Następnie odżywczy deszczyk na kwiaty wytryska,  
a co się podleje, zaraz jędrność odzyska.

Pną się soki do góry według praw turgoru  
i rośliny odżyją z nastaniem wieczoru.  
To nic, że przy podlewaniu ogrodnik się spoci,  
rośliny są mu wdzięczne za porcję wilgoci.



## ŚWIĘTO SADZENIA DRZEW

Było na Polesiu takie,  
dwa razy do roku.  
Sadziły dzieci szkolne  
przy drogach,  
drzewko od drzewka  
na pięćdziesiąt dziecinnych kroków.

Sadzono brzoźki,  
czasami klony, jesiony,  
a najczęściej wierzby...

Inne drzewka  
czasami ktoś wyciął na biczysko,  
albo burza złamała,  
ale wierzba —  
została.

I rosły sobie  
krzywo powtykane kołki,  
z czasem już stare, pochylone,  
dziuplaste...

Zdarzało się,  
że ptaszek siadł po drodze na którejś,  
bo gdzież by?  
I wtedy właśnie  
usłyszał żal osamotnionej  
przy drodze —  
wierzby.

## WITAMINY ŻYWE

Gdzież, jak nie w lesie,  
na leśnym pośłaniu  
może tak miękko być?

Stąpasz nogami jak po dywanie,  
a gdy usiądziesz — jak na tapczanie —  
aż chce się żyć.

Tu pełno głosów mieszkańców lasu,  
hukania sowy, gwizdów, ćwierkania —  
i woni ziół...

Inaczej mieszczuch, kopciem pokryty,  
co psów jedynie słyszy skowyty —  
i terkot kół.

A gdy zabłądzisz na brzeg jeziora,  
gdzie blaski słońca srebrzą te wody —  
i wzdłuż, i wszerez...

Stoisz i patrzysz, a dusza mięknie.  
bo gdzież tak bywa, tak jak tu pięknie?...  
Tu siedź, lub leż.

A jakim kwieciem bawi cię łąka?  
Gdy patrzysz na to w promiennym blasku,  
aż mrużysz wzrok...

Gdy bywasz tutaj — przez wiosnę, lato  
więc masz dla siebie te skarby za to —  
na cały rok.

Na łonie natury i w nurtach rzeki  
możesz zostawić skrzypienie w stawach  
i miejski swąd...

Zdejm swe okrycie, zanurz się w wodzie  
przy pięknej letniej, cieplej pogodzie  
i płyn pod prąd.

A ten co stroni od darów natury,  
kto nigdy nie widział lasu, jeziora  
lub łąk i pól,

Niech nie narzeka, że z jego winy,  
(choćby połyka wciąż witaminy) —  
ma gdzieś tam ból.



## OBRAZKI Z POLESKIEJ WIOSKI

### J e s i e ń

Chmurny dzień. Nie pada.  
Ale wiatr zza stodoł podcina...  
Początek listopada.  
Jesienny dzień ponury...

Kury —  
stoją w zaciszu, przy ścianie —  
i drzemią, napuszone...  
Myślą,  
że jesień, to boskie skaranie.

Przy takiej pogodzie —  
pies, w kłębek zwinięty w budzie,  
jednym okiem zerka,  
czy nie idą ludzie  
i myśli...  
o głodzie.

Z oddala —  
słysząc klekot jadącego wozu  
i pochrapywanie konia...  
Ktoś wraca z miasta —  
wiejska symfonia...

Skrzypnęły drzwi.  
Z chaty wyszła dziewczyna,  
podkasana —  
i poszła z wiadrem do studni...  
Po kamieniach iść — jej nie nowina,  
ale nie tym razem.  
Poślizgnęła się  
i wstąpiła w błoto.  
Oj! — krzyknęła —  
i z powodu tej przygody  
wróciła do izby  
z półwiaderkiem wody.

## P o l o w a n i e

Kilkunastu myśliwych  
przyjechało z miasta.  
Założyli „kocioł“  
z nagonką,  
z trzydziestu naganiaczy  
i każdy dostał złotego.  
Hałasowali, krzyczeli,  
a ci, ze strzelbami,  
ustrzelili zająca —  
jednego...  
Chłopi pomyśleli:  
„I co z tego?“  
Ale myśliwi —  
odjechali...  
szczęśliwi.

## Z a d u m a

Na co ja komu?  
Czterech nas w domu.  
Najmłodszy, Andrzej,  
ma osiąść na gospodarce,  
po ojcu.  
Tomasz i Michał  
w rzemiośle, w mieście,  
za młodu.  
A ja?  
Odsłużyłem w wojsku  
i wróciłem do chaty  
już od roku...  
Co robić?  
Ani grosza przy duszy...  
Jak nie z tego rodu,  
jak nietutejszy,  
jak niepotrzebny...  
Od myślenia

aż rozum się suszy  
i w dzień,  
i w nocy...  
Żadnego wyjścia,  
żadnego widoku...  
Ani rady,  
ani pomocy.

### W i e c z o r y n k i

Wielka i czysta chata Michała,  
po środku wioski stoi.  
Trzy okna aż zadrzą, zadrgają  
gdy muzykanci zagrają.  
Na wieczorynki  
przychodzą tu chłopcy, młodzice  
i dziewczynki.  
Z harmonią przyjdzie  
harmonista,  
skrzypek ze skrzypcami pod pachą  
i basista,  
Od razu —  
wesołość pójdzie po chacie  
od grania,  
jak po czarce —  
i aż podłoga czasem skrzypnie  
od tupania.  
Nawet lampa chwilami przygaśnie  
od gorączki...  
A wodzirej —  
po polsku krzyknie:  
„kółeczko“  
albo:  
„z panią z lewej rączki“

## LEBIODA

O, ty, manno niebios,  
strawo głodnych,  
witamino!  
Roso i nadziejo tych  
co bez chleba  
giną!...

Chenopodium album,  
Lebiodo!  
Komoso!  
chwast...  
Żyjesz bez uprawy  
i czekasz wojny i głodu,  
kiedy —  
wielmożniejesz,  
bo wtedy,  
chenopodium album —  
to już łyżka strawy.

Gdy na przednówku,  
pustka zaskomli w komorze  
i wiatr zahula w stodole,  
lebioda-samarytanka  
już nie jest chwastem:  
zjawia się w zupie —  
na stole.

## NOCLEG

Czy spałeś kiedy w stodole  
na wonnym sianie?  
A czy wychodziłeś w pole  
na słońca przywitanie?

Rano, gdy ledwie świta,  
jasność nad lasem narasta  
i na kropelkach zroszonego żyta  
widać noc i dzień w kontrastach.

Najpierw na różowo się pieści,  
potem lazurem zniewieścieje...  
i tak ten świt obwieści,  
że dzień wstaje, że dnieje.

Aż śpiący przy miedzy skowronek  
pierzchnie gdzieś w chmury wysoko...  
Tak nowy budzi się dzionek  
i tak się bawi patrzące nań oko.

## DWA WIERSZE O CYGANACH

### Tradycyjny

Powróżyć! Garnki odrutować!  
Miski i rondle polutować!...  
Co? Kura zginęła z podwórka?  
Bo głupia była ta kurka...  
A przy ognisku — jak w bajce,  
na skrzypkach grają i na bałajce.  
Spódnice szerokie, barwne, pofałdowane  
i srebrne monety w warkoczach, powplatane.  
Ten młody Cygan, w zielonej kamizelce,  
bardzo się podobał blondynce, Anielce,  
a gdy zagrał na skrzypkach melodie z Bartoka,  
patrzyła na niego, nie spuszczać oka,  
gotowa nawet pojechać z nim w budzie,  
ale się bała — co powiedzą ludzie.  
Tak wielkie jednak poczuła do niego amory,  
że aż ciele zginęło w jej zagrodzie z obory.

### Nowoczesny

Buda brezentem pokryta,  
muzyka za serce chwytą...  
Z Bartoka grają z pamięci,  
za serce chwyci, zakręci...  
Zagładną we wsi po kątach  
i jadą dalej, bo piąta,  
by stanąć we wsi kościelnej  
i pójść do spowiedzi niedzielnej,  
w tej właśnie okolicy...  
Cyganie też katolicy.  
Wiadomo: cygańskie plemię  
z nieba zeszło na ziemię.

## DWA WIERSZE O CYGANACH

### Tradycyjny

Powróżyć! Garnki odrutować!  
Miski i rondle polutować!...  
Co? Kura zginęła z podwórka?  
Bo głupia była ta kurka...  
A przy ognisku — jak w bajce,  
na skrzypkach grają i na bałajce.  
Spódnice szerokie, barwne, pofałdowane  
i srebrne monety w warkoczach, powplatanie.  
Ten młody Cygan, w zielonej kamizelce,  
bardzo się podobał blondynce, Anielce,  
a gdy zagrał na skrzypkach melodie z Bartoka,  
patrzyła na niego, nie spuszczać oka,  
gotowa nawet pojechać z nim w budzie,  
ale się bała — co powiedzą ludzie.  
Tak wielkie jednak poczuła do niego amory,  
że aż ciele zginęło w jej zagrodzie z obory.

### Nowoczesny

Buda brezentem pokryta,  
muzyka za serce chwyta...  
Z Bartoka grają z pamięci,  
za serce chwyci, zakręci...  
Zagładną we wsi po kątach  
i jadą dalej, bo piąta,  
by stanąć we wsi kościelnej  
i pójść do spowiedzi niedzielnej,  
w tej właśnie okolicy...  
Cyganie też katolicy.  
Wiadomo: cygańskie plemię  
z nieba zeszło na ziemię.

Powróżyc, czy garnki drutować!...  
Zagadaj jego, odprowadź,  
a on zabawi się w szpiega  
i na tym ich sztuka polega.  
Wróży, a daje mu znaki,  
że tutaj są małe prosiaki.  
Cyganka karty wyklada,  
a Cygan — u sąsiada...  
Pojechali dalej wróżyć i życzyć,  
a tu trudno kury policzyć.



## BIAŁY LASEK

Śnił mi się las, znajomy „Biały Lasek“.  
Na furę ktoś układał opałowe drzewo,  
kobieta uzbierała cały worek trzasek  
i poszła do domu, na lewo.

W dali, w paprociach, coś się poruszyło:  
jaszczurka ogoniasta dała susa w krzaki,  
gdzieś na horyzoncie chmurnawo się dniło,  
budziły się niedospane, leśne szare ptaki.

Strzepując rosę z liści, z gęstego młodniaku,  
chłopcy z koszykami, szukając wytrwale,  
wypatrywali wśród brzózek oślizgłych maślaków,  
aż spłoszyli zająca — i pohycał w cwale.

Niebo się jarzyło promieniami świtu,  
las myślał już o tym co za dnia się stanie,  
gdy Przedwieczny wymierzał nową porcję bytu,  
jeszcze jeden dzień życia, dziś, na powitanie.

— — —

Krosno życia ziemskiego snuje przędzę wieków...  
Trawa rośnie dla zwierząt, zwierzęta dla ludzi...  
A ty, uważaj, by w tobie, nienasytny człowieku,  
jakiś zwierz się na zgubę twoją nie obudził.

## CHLEB W DRODZE DO DOMU

Słysząc na drodze kół klekotanie  
od ciężaru na wozie snopów i nadziei,  
z oddala dolatuje czarnych wron krakanie  
i jakieś poryki z oddalonej kniei.

Ziarno na siewy i na chleb powszedni  
do stodoły zdąża. Słońce ponagla:  
śpieszcie się ludzie. Będziecie biedni  
gdy burza nadejdzie z niebieskiego magła.

A tam, daleko, za tym wielkim borem,  
jasność się zmienia w czarną chmurę już  
i nawet zagrzmiało, jakby stuk toporem,  
wiatr zadął, a deszcz — prawie tuż, tuż.

Koń ciągnie. Skrzyp wiązadeł wozu  
dolatuje aż do pierwszych we wsi chat...  
Rozwiązał się jeden koniec powrozu  
i jeden snop zboża na ziemię już spadł.

Koń stanął. Zaczęło się długie poprawianie.  
Pot strugami sływa po zakurzonej twarzy,  
coraz bliżej słysząc grzmotów granie...  
Do pomocy nadeszło paru gospodarzy.

Jeszcze chwila i już wiatr sypnął piaskiem,  
aż schnąca bielizna poleciała w pole, —  
lunął deszcz i grzmot uderzył z trzaskiem.  
Gdyby nie ten powróż, wóz byłby w stodole.

IV

DOKĄD MYŚL SIĘGA

## RYBAK

Nad Jasiołdą słońce świeci,  
choć gdzie indziej chmury.  
Stary rybak suszy sieci,  
rozplątuje sznury.

Usiadł sobie przy ognisku  
grzać ręce zgrabiałe...  
Mgły osiadły na ściernisku,  
szarawe, nie białe.  
W rzece karpie i okonie,  
liny i szczupaki...  
Rybak wie, że w innej stronie  
żyją w rzekach raki.

Dzisiaj wyszedł z domu rano  
by sieci posuszyć,  
lecz uderzył się w kolano,  
że nie mógł się ruszyć.

Ból już minął mu zupełnie,  
ten pierwszy i ostry...  
Na południe dziś, niedzielne —  
pójdzie do swej siostry.

Sam jest w domu, jak ten palec,  
zostać sam się boi,  
trzeba się do siostry zawlec,  
tam się noga zgoi.

Po południu był w jej chacie,  
choć długo kuśtykał.  
„Co ci jest — spytała — bracie?“  
gdy już drzwi zamykał.

„Uderzyłem się w kolano  
o krawędź mej łodzi,  
zrazu ostro zaboląło,  
ale już przechodzi“.

Tydzień chyba leżał u niej  
pod siostry opieką,  
najpierw jadał co mu dała,  
w końcu — tylko mleko.

Aż pewnego dnia, nad ranem  
poprosił o świecę  
i powiedział: „Widzę bramę,  
już do nieba lecę“.

W trzy dni później już go wieźli  
na cmentarz w małej łodzi,  
bo ten rybak w życiu więcej  
pływał, niżli chodził.

## W IMIĘ ISTNIENIA

Jakież to myśli dziś się rodzą?...  
Zdania ze sobą się nie godzą...  
Prawdy nie trzeba chować skrycie,  
niczego z słowa nie ominąć,  
by naród nie mógł całkiem zginąć —  
by trwało życie

Patrzysz i widzisz — same wdowy —  
i myśli trudno wygnąć z głowy,  
jak natarczywe brzęczą czmiele,  
jak rozszalała morska fala,  
tak płacz żałobny płynie z dala —  
aż go za wiele.

Przypomną nam się wszystkie wrześnie  
i listopady — też boleśnie, —  
i październiki, sierpień, styczeń...  
Możecie w tych miesiącach szukać  
nauki, — a trzeba nam nauki,  
trzeba, faktycznie.

I cóż nam z żałobnego pienia  
i ze spalonych chat i mienia,  
że serce aż wiekami boli, —  
i co nam z bohaterskich zrywów,  
gdy kraj marnieje od złych wpływów,  
bo jest w niewoli.

Tą drogą iść — to cel chybiony, —  
wiatr nas rozniesie na wszechstrony,  
duch ujarzmiony się wyprzęgnie,  
odleci za obcą miernością,  
a w kraju, utyłanym w błoto —  
grzech się wylęgnie.

Z tajemnic nie zbudujesz domu.  
Aż przykro jest powiedzieć komu  
jakie na ciele mamy plamy:  
w lesie mogiły, w mieście mogiły,  
krew sączy się wciąż z polskiej żyły —  
wolności też nie mamy.

## MAKI I BURZA

Maki kryły płatkami pylniki,  
jak matka dzieci od szkody —  
aż do wzrostu, od kołyski...  
Bo tam, w dali, w chmurze —  
już były błyski.

Aż przyleciał wiatr,  
zamłynkował,  
zaszumiał,  
zaszeleścił —  
i burzę obwieścił.

I przyszła nawałnica,  
ulewa,  
zagrzmiało — raz... drugi —  
pochyliły się drzewa,  
te młodsze najbardziej,  
a wiatr wciąż naciskał  
coraz mocniej i twardziej...  
Polały się wody strugi...

Aż uderzył piorun —  
gdzieś w pobliżu —  
i — jak na komendę —  
jak gdyby powiedział:  
„Już więcej nie będę“  
i zaraz po piorunie —  
deszcz zelżał...

A po chwili  
ustał zupełnie...  
Pojaśniało.  
Wyrzowało słońce  
z odchodzącej gdzieś chmury...  
Latały już ptaki,  
wyszły na żer kury,  
otrząchały się z wody  
drzewa i krzaki,  
otworzyły się ponownie —  
maki.

## SPACER

Kroki po ścieżce z przystankiem,  
pies biegnący truchcikiem,  
trawy pachnące porankiem,  
kawki z kawkowym krzykiem.

Powiew ciepła od stodół,  
pień ściętego drzewa, —  
coś skoczyło spod spodu  
i jak może tak zwiewa.

Niebo żarem przypieka  
i nie bardzo pojmuje  
wałęsanie człowieka,  
że w dniu pracy próżnuje.

Ścieżka skręca na prawo,  
obok zbóż, kartofliska,  
pies się czai głupawo,  
ślina cieknie mu z pyska.

Spacer taki — to gratka,  
gdy czas na to pozwala...  
Idzie dzieci gromadka,  
poznał znajome z dala.

Teraz idzie z powrotem...  
Wieżie ktoś furę siana.  
Koło domu, za płotem,  
ktoś przywiązał barana.

Stoi ze łzą w oku solną,  
aż do płaczu zbeczany,  
że ktoś chodzi wolno,  
a on przywiązany.



## SĄSIEDZI

W wielkiej kamienicy — ten,  
co na pięćdziesiątym piętrze stoi,  
nie wie —  
kto pod nim,  
czy nad nim mieszka:  
schodowa między nimi ścieżka.

We wsi jest inaczej.  
Tam znają się wszyscy  
i żaden drugiego się nie boi.

Na cmentarzu,  
przy wielkim mieście,  
po pewnym czasie,  
stawiają grób na grobie,  
zwyczajnie —  
dla oszczędności.

Ten co leży pod spodem —  
nie wie kto nad nim stoi,  
bo co wiedzą kości? ...

Dopiero,  
gdy duchy znajdą się w niebie,  
poznają się oni,  
bo tam —  
wszyscy znajomi ...  
i ... swoi.

## ASFALTOWA DROGA

Tak niedawno tu był las,  
nie puszcza i nie bór ciemny,  
zwyczajny sosnowy laszek,  
a w nim taki chłodek przyjemny  
i jak zawsze w lesie  
trochę chrustu i trzasek.

Chodzili do lasu ludzie  
dla odpoczynku czy dla ochłody,  
ktoś nawet grzyby tam zbierał,  
a inny znowu jagody —  
zjadał, albo ze sobą zabierał.

W niedzielne popołudnie  
młodzież tu się schodziła  
w lecie,  
bawili się, hasali...  
A teraz już tego lasku nie ma.  
Czy wiecie  
co się z nim stało?  
W y r ą b a l i...

A przez to miejsce  
asfaltowa droga przebiegła,  
zakręciła się i pomknęła...  
Widać ją aż tam,  
gdzie rzeka...  
Lasu już nie ma,  
cała radość zginęła,  
już nie urzeka.

## JESZCZE RAZ

Jeżeli myślę o sobie,  
to tam siebie widzę,  
gdzie boso biegałem po trawie...  
Za serce to skrobie,  
aż się tego wstydzę,  
że stary i tym się jeszcze bawię.

Tam była piękna trawka,  
po której, jeszcze z rosą,  
lubiłem biegać wzdłuż i w kółko.  
W ogrodzie była ławka,  
na której, po bieganiu boso,  
ze smakiem zjadałem mleko z bułką.

A na co mnie to dziś,  
staremu i nad grobem,  
czy warto przypominać czasy dawne?  
Ktoś powie, czy nie lepiej byś  
zaprzestał już być snobem,  
bo teraz jest to raczej śmieszne, niż zabawne.

A ja odpowiem mu,  
w tym moim teraz wieku,  
tym krótkim jednym tylko zdaniem:  
mieszkając teraz tu,  
pragnienie mam, człowieku,  
pobiegać jeszcze raz tam przed skonaniami.

V

WROTNIE DUSZY

## ODMIANA

Gdy już chmury zelżały nad mą głową i światem,  
odłożyłem na stronę młotek i łopatę.

Mniej miałem już siły drzewo rościć potem,  
do pióra wróciłem — do innego — z powrotem.

Coś mnie wzywało do tego jak rolnika w pole,  
jak bociana wiosną do gniazda na stodole.

Zajęcie to już inne, śpiewne i sokole,  
struny tu są potrzebne, krzyżyki i bemole.

I skowronek, co zwie się w moich stronach „zawrukiem“,  
jego śpiew też trzeba spisać i ogłosić drukiem.

Dźwięk od ciszy oddzielić, od śpiewu jazgoty,  
uśmiech dziecka od smutku, a płacz od tęsknoty.

Różne dźwięki pozbierać — jak: pukanie dzięcioła,  
rzewne hymny nieszporne, oratoria z kościoła.

Ostrzenie kos na łące, młynów terkotanie,  
ciszę płaczącej matki na syna pożegnanie.

W końcu słowa ustawić — jak umiem, jak mogę,  
poprzypinać im skrzydła i niech lecą w swą drogę.

## PLANOWANIE

Nikt nie jest w stanie zmienić przedwiecznego biegu,  
jego niezależność — to mądrości dusza:  
człowiek ustawi coś na swój gust w szeregu,  
a szereg — jak chce — tak się wykrusza.

Łzy ci powiedzą — ile ty razy  
na swoje mierzyłeś kopyto,  
że wyjdzie, jak chciałeś, bez skazy,  
tak ci się zdawało. Gdy by to?

Wzrok często nie dopędzi tego,  
co ci wypadło ze strudzonej ręki...  
Przypomnij sobie, zacny mój kolego,  
ile zmartwień miałeś z nieudanej piosenki.

Ot i planowanie! A Ktoś za plecami,  
nie według twych zamierzeń tym co robisz kieruje...  
Pomyślcie o tym, a przekonacie się sami,  
że nawet temu to się zdarza, kto tylko próżnuje.

## JAK ZDMUCHNIĘTA ŚWIECA

Zabrakło odwagi odrzucić,  
nie było śmiałości pozwolić...  
Kto może oto się klócić,  
bo jedno i drugie boli.

Czy można snu trochę pożyczyć,  
bezsensowność straszy upiorem,  
a serce w ciemnościach krzyczy,  
bo gdy samotne — to chore.

A nerwy — jak struny napięte  
na nowej mandolinie...  
Co ona uważa za święte,  
u niego w bezkresach ginie.

Trzydzieści pełnych miesięcy  
(feralna to liczba może)  
od chwili poznania, nie więcej  
i co z tego wyszło? Mój Boże!

I przysło jak bańka mydlana —  
wszystko: słowa, wyznania...  
Wie, że była kochana —  
tylko... do pożegnania.

## ŚWITANIE

W przędzalni świata kręci się wrzeciono,  
zorza budzi to, co wczoraj uśpiono.

Mgła do ziemi przypada i w krople się łączy,  
pierwszy promień się rodzi, zza lasu się sączy.

Nim gwiazdy, te większe, do reszty wygasną,  
w lesie zajaśnieje, za lasem już jasno.

Pierwszy zwiastun dnia — kur gdzieś tam zapieje,  
a wtedy już wiadomo, że ranek, że dnieje.

Słychać — żuraw gdzieś skrzypnął, ktoś nabiera wody:  
do pracy się szykują, dzisiaj, za pogody.

Dzień różem świat przywitał — pogodnie i krasno,  
jeszcze jeden paciorek w różańcowych dni pasmo.

Dzień się oszklął srebrem, złotem obramował,  
świat zapomniał już w jakich ciemnościach nocował.



## KTO PIŁ WODĘ ŹRÓDLANĄ?

Kto korzeniami w ziemię wrósł od wieków,  
kto w mgłach poleskich umie iść o wschodzie,  
kto chleb na stole ma z własnych zasieków,  
temu żyje się ciężko tutaj, na zachodzie.

Kto jadł chleb razowy, wymieszany w dzieży  
i w piecu ceglany wypiekany w domu,  
temu nie zapachnie ten, z piekarni, świeży —  
i trudno mu się do tego nakłonić poziom.

Kto na słowie sąsiada, tak jak na opoce  
polegał i mu ufał zawsze, bez wątpienia,  
ten źle się poczuje w handlowej epoce,  
a od reklam wrzaskliwych nabierze ogłupienia.

Kto wodę źródlaną pił ze swej krynicy,  
tego nie orzeźwi woda z rur, choć chłodna,  
ani te napoje z magicznej chłodnicy,  
ani żadna inna, choć najbardziej modna.

Człowiek jest cząsteczką przedwiecznej przyrody,  
musi żyć i działać zgodnie z jej prawami,  
a gdy zaprowadza swoje własne mody,  
zniszczy siebie, a często i przyrodę splami.

## TECZA

To co zostało z potopu,  
te moczary i rozlewiska,  
tęczą zachciałeś  
zweżać i ścisnąć...

Zapewniłeś —  
siedmiobarwną wstęgą nadziei,  
że nic już nie wypłoszy  
zwierzyny z kniei...

Że w niewiedzy  
już nie będziemy stąpać,  
że woda tylko w rzekach popłynie,  
że koła będzie obracać w młynie,  
że ryby będziemy w niej łowić  
i w niej się kąpać...

I zaczęły się z Twojej woli  
światła dwoić i troić,  
by przestraszonych uspokoić...

I Tobie świat zawdzięcza,  
że zesłaś na ziemię —  
siedmiobarwna tęcza.

## WRÓŻBA

Wstała z łóżka cichutko,  
otuliła się narzutką  
i wyszła nowiu na niebie poszukać.  
Noc była śliczna,  
gwiazdzista, krystaliczna, —  
było cicho, tylko sowa zaczęła hukać.

Powiedzieli dziewczynie,  
że dziś, gdy północ minie —  
księżycy winno być narodzenie,  
a ten, kto to zobaczy,  
dla niego to znaczy,  
że w miłości będzie miał powodzenie.

Więc pomiędzy gwiazdami  
przebiegała oczami  
i w zapale ścisła aż pięście...  
Jej serce szukało,  
bo to serce wiedziało,  
że od tego zależy jej szczęście.

Nagle, na schyłku nieba,  
jakby błysk na bochnie chleba  
wyjętego dopiero co z pieca, —  
najpierw szarawym cieniem,  
a potem — półpierszczem —  
zobaczyła, że coś się prześwieca.

Serce mocniej zabiło,  
bo radości nie kryło,  
że się stanie jak rzekła jej wróżka, —  
więc nie tracąc już czasu,  
cichutko, bez hałasu  
i bez zwłoki pobiegła do łóżka.

## OBCOWANIE

Rozwiał się wszystko w nicość,  
nawiały zasłony dymne, —  
kiedyś mówiono „stałość“,  
a jakie to dziś jest inne.

Najlepiej się schować w niebycie,  
zapomnieć o ziemskiej powłoce...  
Właściwie — co to jest życie?...  
Dlaczego tak długie są noce?

Gdyby tak wejść za kurtynę,  
za materialnym oprzędem  
i stać się tak małą kruszyną,  
która choć jest — jej nie będzie.

Bolesne to obcowanie  
na ziemi w czepku z ciała,  
prawdziwe boskie skaranie,  
wcielenie, czy tylko kabała.

Bo duch rwie się do ducha,  
któremu podałyby rękę,  
który chciałby go słuchać  
i razem śpiewać piosenkę.

## NOWE GOSPODARSTWO

Wyřabali te sosny w lesie,  
potem wieźli je na saniach,  
popiřowali, zařozyli przyciesie,  
bale, belki i jest miejsce do spania.

Miřość szczęście im niesie,  
byli juź zaręçzeni  
gdy zakładali przyciesie:  
řlub się odbył w jesieni.

Otulili chatę miřością,  
wbudowali ceglane piece,  
pořwięcili dom z poboźnořcią  
i poddali to boskiej opiece.

Zapachniała warzona strawa,  
zastukały cepy w stodole,  
przydała się szeroka ława,  
siadali na niej przy stole.

Zabiło serce niewieřcie,  
radości i dumy peřne,  
kupili kołyskę, a w mieřcie  
kołowrotek — przaść weřnę.

Przy lampie, czy małej gazówce  
przędła i szyła koszule,  
nadzieja była w jałowce  
i wkrótce juź mieli „krasulę“.

A gdy nadeszły juź źniwa,  
ona źnie, on wiąże snopy,  
od słońca dziecko zakrywa  
derka, rozpięta od kopy.

Życie idzie łagodnie,  
w synku rořnie pociecha,  
płyną dni i tygodnie,  
nad głowami jest strzecha.

A gdy mrozy nadejdą,  
wtedy w chałupie własnej,  
miło miesiące przejdą  
w izbie cieplej i jasnej.

## NIEWOLA

Stefan miał psa, czarnego owczarka,  
ktoś, jak na kpiny, nazwał go „Baronem“;  
nawet i na wsi, gdy większa gospodarka,  
i pies chodzi dumny, z zadartym ogonem.

Był jednak kapryśny ten Stefana Baron,  
nawet hardość okazywał w swej pieskiej niedoli  
gdy mu dano na obiad wczorajszy makaron,  
opuścił ogon i szczeknął, że kielbasę woli.

„Nie jestem przecież tutaj jakimś miejskim przybłądą“ —  
takie myśli chodziły po jego psiej głowie —  
„Na wsi nie ma hyclów i nigdy nie będą,  
w mieście psy piją wodę, a ja mleko krowie“.

A czasem, gdy go bardzo zgonili w pracy ludzie,  
gdy przez dzień cały za owcami hyczał,  
bez tchu siadał wieczorem przy swojej psiej budzie  
i wył bez przerwy noc całą swój żal do księżycy.

Nikt z ludzi nie wie co psie wycie znaczy,  
ale ja wiem, bo sam byłem w podobnej niewoli,  
psy wyją do Boga — w godzinę rozpaczy:  
Boże, wybaw nas, błagamy, z ciężkiej psiej niedoli.

## ŁÓŻKO

Chcę pisać o łóżku.  
Czy istnieje tak ważny sprzęt drugi?  
Wątpię.  
Ani stół, ani szafa  
nie ma tej zasługi.

Łóżko pamięta  
pierwszy krzyk niemowlęcia,  
miłosne wyznania,  
płacz, łkania  
przysięgi i zaklęcia.

Łóżko notuje  
jak w najnowszych maszynach  
wszystkie zdarzenia  
na siennikach,  
materacach  
i sprężynach.

Ale jest dyskretne.  
Nikt się nie dowie  
od tego posłania  
co się tu działo  
przed  
i podczas spania.



## WROTNIE DUSZY

Czego szukacie, przyjaciele,  
wejścia do mej duszy?...  
L a b i r y n t...  
Jedno jest tylko do niej wejście —  
przez strofy mych wierszy.

Są w nich:

Moczary poleskie,  
bo moja dusza —  
do mego cielesnego oprzędu  
tam weszła...

Lasy cieniste i ścieżki  
przez dzieci poleskie wydeptane,  
bo tam ziściło się  
kształtowanie mego życia...

Rzeki leniwe,  
pełne czaru i tajemnic, —  
bo tam mojej duszy  
świeciło poleskie złote słońce...

Rozmodlone kościoły  
i rozśpiewane cerkwie,  
bo tam wrosłem w cząstkę Boga...

Rechot żab i klekot bociana,  
bo echo tych głosów  
i dziś w sobie noszę.

Więc, proszę:  
otwórzcie na oścież duszy mej wrotnie  
i czytajcie  
co ja w niej noszę —  
samotnie.

## GRUSZKI SUSZONE

Na Polesiu suszą gruszki  
na wielki post w zimie,  
całe potem ich wianuszki  
wiszą na kominie.

Matka dzieciom swym do szkoły  
da po dwie-trzy gruszki,  
by im dzień tam był wesoły: —  
topnieją wianuszki.

Dzieci są na gruszki łase,  
każde aż się śmieje, —  
mama wrzuca na okrasę  
do kaszy z olejem.

A na wiosnę, na przednówku,  
gdy chleb jest po kruszce,  
wtedy barszcz jest z ziemniakami,  
a w barszczu — po gruszce.

Gruszka służy Poleszukom  
jak w mieście laleczka,  
stary dziadek daje wnukom  
zamiast cukiereczka.

VI

ODWAŻNIE

## DWUNÓG

Ile na świecie jest tych Dwunogów?  
Mówią niektórzy: jak siana w stogu.

Gdy liczba owiec jest już jak plaga,  
wilki są na to — i znów równowaga.

Lecz nie ma wilków na te stworzenia,  
a więc sam Dwunóg w wilka się zmienia.

Bo w jego mózgu, w zwierzęcej części,  
wilk zawsze drzemie, szykuje pięści.

Sypnie ołowiem, płomieniem buchnie,  
albo atomem na siebie chuchnie.

A gdy mu zaswędzą wilcze pazury,  
razem z innymi wyleci w chmury.

A tam oświadczy — u niebios bram:  
„Ziemię spaliłem, ja jeden, sam!“

## WYMAGANIA

Nie ma pewności kto i gdzie będzie  
gdy się pożegna z ziemią-matką,  
lecz chodzi o to mnie w tym względzie,  
żeby odjechać z tej ziemi dość gładko.

I żeby z sobą mieć tam co lubię,  
książki i kwiaty i jarzyny świeże,  
nawet i w niebie ja się łatwo zgubię  
bez tych dodatków, mówię wam to szczerze.

Żeby nie było w niebie lekarzy,  
bo nie ma leków na ducha cierpienia —  
i żeby nie było z „bejzbolu“ piłkarzy,  
sądów, policji — no ... i więzienia.

I do takiego chętnie pójde ja nieba,  
gdzie nie ma wcale sztucznej żywności,  
tylko zwyczajny polski bochen chleba  
i ludzie dobrzy, szczęśliwi i prości.

## OWIES

Owies z księżycem się zbratał.  
Gdy się wykłosił  
i była pełnia —  
zeszła na niego  
księżycza poświata.

Połyskliwe, srebrzyste blaski  
spłynęły ukosem  
na owsa kiście,  
a na kulkach ros  
widać było księżycza tarczę,  
a na niej —  
jego nos.

Taki jest owies  
w noc księżycową  
przed kwietną porą,  
w zbożowy czas.  
Owies urzeknie  
swym owsim pięknem,  
owsią wymową  
w noc księżycową —  
zapewniam was.

## PORÓWNANIE

Stoję na krawędzi świata,  
ze mną wszystkie narody:  
małe, duże, olbrzymy.

Czy wam chodzi o sens,  
czy tylko o rymy?  
Ja myślę, że o to pierwsze.  
Pisząc rymowane wiersze,  
trudno sens z wiersza wydostać.  
Jednak, by zadaniu sprostać,  
zaniechajmy rymowania  
i idźmy normalną drogą  
do wykonania zadania.

Powtarzam:  
Jesteśmy na krawędzi świata.  
Gdy Kain zabił brata,  
było ich czworo.  
Nas teraz jest cztery biliony,  
o bilion razy więcej.  
Wtedy była wielka strata,  
choć chodziło tylko o brata,  
o jedną osobę.

Dziś, gdy się wojna zacznie,  
może być gorzej znacznie:  
Jeden człowiek — Kain,  
może zabić cztery biliony Ablów.

Żadne porównanie,  
bo nic po nas nie zostanie,  
wszystko poumiera...  
Jakież to porównanie:  
cztery biliony —  
do zera?

## POKWITOWANIE

Dziewięć miesięcy oczekiwania,  
dwa lata pieluszek, niedospania,  
kilkanaście lat troski,  
zmartwień, kosztów,  
zabiegów, kontrastów —  
aż dorósł chłopak  
jak świeca —  
do lat osiemnastu.

A wtedy —  
nowe zmartwienie:  
do wojska syna zabrali  
na przeciwczenie.

Wybuchła wojna.  
Nie ma wieści gdzie się znajduje,  
matka wie tylko,  
że wojuje...

Martwi się i myśli:  
Taki wątły, taki słaby...  
Może niedożywiony,  
źle odziany, okryty?...

Aż otrzymuje wiadomość,  
jedno słowo,  
trzy sylaby:  
za... bi... ty.



## CO NAS CZEKA?

Bóg nocom gwiazdy rozdaje,  
południom — spiekotę,  
wieczność na godziny kraje  
i ozdabia w ornamenty złote.

Kropidłem swojej mocy  
rośliny zasila...  
Księżyc dał ciemnej nocy,  
a kwiatom — motyla.

Sercu każe kochać,  
a oczom — widzieć kwiaty, —  
że miłość bywa płocha,  
ludzkości to straty.

Do wielkości ducha, On —  
powołał człowieka,  
a że człowiek nie usłuchał,  
jeden Bóg tylko wie co go czeka.

## ANALIZA

Ten smutek, który w tobie z wiosną się rozbratał —  
przykryj pilśniowym kapeluszem świata,  
a jeżeli nadal wychodzi ci przez pory —  
... toś chory.

Rozdźwięki twojej duszy krzywo zbłądzone,  
w słonecznym dniu świata zrodzone,  
których nie umiesz uzgodnić, pozbierać —  
... pora umierać.

Cała twierdza życia w sercu się mieści,  
zamknij w nim swoje siedem boleści,  
niech nikt nie widzi co tam leży —  
... poczujesz się świeży.

A gdy pokonasz te wszystkie twoje złudzenia,  
przeciwności życia, duchowe cierpienia,  
gdy tylko w dobroć będziesz wpatrzony —  
... toś uleczony.

## WOJNA

Tragiczna opowieść biblijna,  
ostrzeżenie dla potomności...

Precedens,  
który w dziejach się przeplata...

Wojna,  
największa w dziejach świata,  
zginęło ćwierć ludności,  
brat zabił brata...

Broń:  
Kamień,  
nie atomowa,  
nie karabin,  
nie szabla...

Kain zabił Abla.

VII

W I A T R Y

## HURAGAN

Wiatrów źródło, krynica —  
temperatur różnica —  
niech w larum uderzy!  
Hej wiatry! Ten, co leży  
senny na bezmiarach wody —  
i ten, co gnuśnieje z wygody  
na polach, lub na stokach gór,  
połataną chustą chmur  
jak kocem przykryty —  
zbiórka! Stać jak wryty!  
Milczeć, ani słowa,  
musi być cisza grobowa!...  
Pamiętajcie: powodzenie  
osiągniemy przez zaskoczenie  
i siłę. Gotowe? Tak?  
Gdy błysnę na znak —  
ruszać nawałą  
i krainę całą  
zamienić w pustynię!  
Niech zginie!!!

Blask. Trrraaach!!!  
Huk, wyyycie, wrzask!...  
Ciemno od kurzawy,  
od huraganowej zabawy.  
Paszczę śmierci lecą,  
oczy błyskają, świecą,  
wszystko palą, żrą, —  
naprzód prą,  
tratuja,  
zasypują,  
niszczą,  
wyyyją i świszczą!...

... Co to? Wioska?  
Trrraaach! Nie ma ani kłoska.  
Miasteczko pośród równiny?  
Rrruummmot... i ruiny!...  
A co? Mamy siłę?

Wszędzie mogiłę  
zostawimy! Zabijemy,  
złamiemy, zakopimy!

I co? Odpoczynek?  
O, nie. Zakręcić młynek,  
wirować i wirować,  
zasypywać, nie próżnować  
i zmykać w dal  
do morskich fal...

## BURZA

Podbiegła,  
do ziemi przyległa,  
zrobiła z chmur zasłonę  
i patrzy, w którą stronę  
rzucić się na ofiary...

Na miasta! Wzniecimy pożary!  
Tam iskier dość!...  
Ludziom na złość  
będziemy łamać, bić,  
palić i wyć.  
Będzie żywiołów zabawa:  
płomień, kurzawa —  
widok wysiłku wart...  
Uwaga:

Start!

Nie marnować czasu!  
Najpierw do lasu...  
Chwytać sosny, przeginać,  
łamać, lub ścinać,  
przechylić, skrócić, przewrócić,  
wyrwać z korzeniem i rzucić,  
potargać na drzazgi,  
zrobić zwalisko miazgi!  
Tak! Tak!

I dalej, na miasto!

Tę wieżę kopulastą  
obedrzeć z blachy,  
trzasnąć w szyby i na dachy!  
Zrywać, zwałać,  
iskry łapać, podpalać!...  
Parkan przeszkadza? Przewrócić  
i dalej się przerzucić!  
Prędeży! Tu jakiś gmach.  
Tłuc szyby — trrrrach, trrrrach!  
i dalej! Na obiekt świeży!  
Maszt? Buuuch! Już leży.  
O, tu wierzba stara  
i kasztanów para...

Złamać, zwalić  
i dalej mknąć, walić!...  
Na wieś, schowaną w klonach!  
Macie siłę w szponach?  
Rwać słomę ze strzech!  
Nie jeden, we trzech!  
Poprzewracać stogi —  
i szukać drogi  
do odwrotu, w las,  
bo już czas —  
o d p o c z ą ć...



## WICHER

Zły i rozhukany,  
przyleciał nieczekany —  
wiatr — wichura — włóczęga,  
pogwizduje i stęka,  
robi wywijasy, skręty —  
i bardzo do śpiewu zawzięty...  
Albo — huuu, huuu — wyje,  
w pustej szopie się kryje,  
lub jak głupi się śmieje,  
to znów jak kur zapieje,  
to jak osa zabrzączy,  
lub jak ranny zajęczy,  
to burknie, to zacharczy,  
to jak pies zawarczy...  
Całkiem jak zakłęty...  
A może on przemarznięty,  
bo to luty i noc? ...  
Wdarł się do wnętrza — i pod koc  
pcha się natrętnie, bezczelnie...  
Poszperał — wszędzie szczelnie...  
Zły. Jeszcze raz w okno trzasnął,  
położył się przy piecu i zasnął.

A tamten, na dworze — jak zwierz —  
rzuca się wzdłuż i wszerz, —  
puka, po dachu skacze, —  
chce zerwać, nie może, płacze...  
Zawodzi żałośnie, zgrzyta, —  
za zimną blachę chwyta,  
szarpie, zębami łapie —  
aż zmęczył się i sapie...

Odpoczął i znowu zaczyna:  
teraz czepia się komina.  
Komin — to wiatrów siedlisko,  
tam urządzają igrzysko:  
to wabią się miłośnie,  
to zawodzą żałośnie,  
to wyją jak psy, to jak koty

jęczą i robią psoty:  
pukają, w szybry dzwonią,  
wzajemnie się gonią,  
z piskiem, ze strachu,  
aż wyskoczą odpocząć na dachu.  
Posiedzą, podudnią w blachy  
i ffrrr ... lecą na inne dachy ...

Leci psotna gromada  
i piskiem gdzieś wpada  
żeby nie próżnować, latać —  
plac dookoła zamiatać,  
gromadą, zgrają —  
zasypywać — niech szukają!  
Wszystko w piasku schować  
koziołkować,  
ziemię ryć —  
i — huuu, huuu — wyć.

## WIATR

Nie lubię człowieka...  
Pot kroplami po mnie ścieka,  
a ja muszę trzymać napięte  
żagle, ludzką wolą nadętą —  
i wlec po falach te tony  
gdzieś w dalekie strony...

O, gdyby mój brat, huragan  
przyleciał z pomocą,  
czy w dzień, czy nocą,  
niespodzianie, nagle  
i poszarpał te żagle —  
miałbym ucieczki nadzieję...  
Słabo mi, nie mogę, mdleję  
i padam na podłogę,  
na... pokład... Już leżę...  
Otwieram oczy — wybrzeże.  
Oj, jak mnie mięśnie bolą...  
Wyskakuję na molo,  
leczę.

Na lewo sady, przeszkoda,  
na prawo — wstrętna woda.  
Nie lubię wody — prosto pogonię,  
na równe błonie,  
zieloną trawkę i maki —  
O, jakieś budynki!...

Wiatraki!!!

Skrzydlate potworne postacie!!!  
J e s t e m w k i e r a c i e...  
Kręcę. Puls wali mi w skronie...  
Zmieniłem się w parowe konie.  
I tak — dzień cały — aż padam,  
słabnę i... siadam...  
Noc.

Wyspałem się na łące.  
Poranek i słońce gorące...  
Zerwałem się na nogi,  
biegnę i szukam drogi,  
do wioski — biegnę po trawie...

We wsi z dziećmi się pobawię.  
Lubię dzieciaki z rana.  
Potańczę koło siana,  
kury zagonię w maliny,  
poigram fartuszkiem dziewczyny...  
Ktoś wiesz co na gruszy  
i mówi: „Niech wiatr pieluszki posuszy“.  
Tego już nie zniosłem!  
Ja — co na morzu wyrosłem,  
co wożę zamorskie towary,  
ja — pracownik stary —  
śmierdzące pieluszki suszyć?!  
Ani myślę się ruszyć...

## ZEFIR

Ześlizgnął się cichutko z dachu,  
nabrał na łące zapachu —  
i toczy się, do ziemi przywiera,  
chłodku na siebie nabiera...  
Patrzy — idzie człowiek spocony —  
zbliża się, bije mu pokłony,  
podbiega, chłodkiem chucha  
i zapachem łubinu nań dmucha,  
przyjaźnie, łagodnie,  
z uśmiechem, pogodnie —  
czoło mu wysusza —  
i w dalszą drogę rusza.

Widzi — okno uchylone...  
Podbiega w tę stronę —  
i jak złodziej, pokryjomu  
wsuwa się do domu.  
Zagłada — nie ma gospodarza,  
nikogo. „Zabawię się w figlarza“.  
Poprzewracał na stole papierki,  
chce zerwać ze sznurka ścierki.  
Nie ma siły. Porzucił.  
Skoczył, doniczkę przewrócił,  
ucieszył się — aż klasnął,  
potem drzwiami trzasnął  
i — wystraszony tym czynem —  
wyfrunął kominem.  
I tak igrał do wieczora —  
aż osłabł... Spać pora.  
O zmroku się zdrzemnął...  
Brrr... Zmarzł... Aż ziewnął...  
Słucha — dźwięczy gitara...  
Podpełza i widzi: młoda para —  
schowani w cieniu drzewa,  
on gra cicho, ona śpiewa.  
Więc ciekaw — co mówią — podsłuchać  
i chciałby jak oni pogruchać,  
chciałby ich jakoś popieścić,  
listkami choć poszeleścić,

zabręczyć cichaczem w strunki,  
podpatrzeć ich pocałunki...

Prześlizgnął się między porzeczeki  
i podpełził do samej ławeczki,  
gołąbkim nad uchem im gruchnął  
i wonnym zapachem też chuchnął...  
Zajrzał już śmiało im w twarze,  
a chociaż na miejskim zegarze  
dawno już północ wybiło,  
ta para tam wciąż się pieściła...  
„Czy ci nie zimno? Może włóż sweterek“.  
Nie trzeba, bo ciepły wiaterek“.

VIII

FRASZKI I IGRASZKI

## DECYZJA

Na drzewach, na wysokich, na czubatych  
osiedliło się tysiące wron.  
Tak, tysiące wron — mężatek i żonatych —  
przeniosło się tu z innych stron.

W tym parku, gdzie dotąd była magna otia caeli,  
znalazła się teraz czereda  
i cały ład tu diabli wzięli, —  
dla miasta nieznośna bieda.

Tak, osiedliło się tysiące wron,  
nikt nie wie czym się one żywiły —  
i nikt nie wie z których przyleciały stron,  
lecz wiedzą wszyscy, że bardzo się mnożyły.

Park się zmienił w zabrudzony chlew,  
nikt nie mógł przejść ścieżką czy aleją,  
zarząd parku w straszny popadł gniew,  
a wrony tylko się z nich śmieją.

Strzelać kazano do tych wstrętnych wron,  
jastrzębie też na nich puszczano,  
żaden nie wyszedł z tego plon,  
na próżno do nich strzelano.

Wreszcie miasto orzekło, że tak żyć dalej nieznośnie,  
rada miejska radziła tygodniami namiętnie,  
aż wreszcie uchwaliła zgodnie i jednogłośnie —  
by park wyrąbać doszczętnie.



## TRZY DRZEWA

Trzy drzewa mamy w naszym małym ogródku,  
w miejskim hałasie rosną spokojnie, po cichutku.  
Tuż obok domu jesion gałązką dotyka szyby  
i zagłada, jakby widział coś wewnątrz. Jak gdyby.

W drugim kącie zieleni się świerk, choinka,  
stojna i kształtna, jak panna, jak dziewczynka,  
zawsze na zielono ubrana i latem, i w zimie,  
na skrawku trawnika stoi, jakby na kilimie.

A trzecie drzewo, to pani — miododajna lipa.  
(Lipowy kwiat — to lek, gdy kogoś złapie grypa).  
Panna Malwina, gdy ją kaszel gnębi,  
też pije napar lipowy, gdy czasem się zaziębi.

Z tych drzew mamy korzyść rozmałą:  
Na huśtawce pod jesionem bawi się John z Anitą,  
choinkę się ubiera na Boże Narodzenie,  
a kwiat lipowy pomaga Malwinie na przeziębienie.

O JABŁKU  
(żartem)

Gdy jabłko opadnie z drzewa  
i odtoczy się nieco —  
czasami ktoś się naśmiewa,  
że słowa śmiesznie się klecą.

Bo jabłko — to owoc kwaśny,  
choć pachnie zawsze jabłkowo...  
Nie opowiadaj mi baśni,  
ja ci wierzę na słowo.

Z jabłek się robi wino,  
jak w Polsce — Makowskiego...  
Ciekawe, że ci z łysiną  
nic sobie nie robią z tego.

Z jabłek też robią kompoty,  
lecz z gruszek są dużo lepsze...  
Gdy ktoś ma rodzinne kłopoty,  
to nikt ich nie odeprze.

Ma jabłko znaczenie biblijne,  
z Adamem na zawsze związane...  
Zebranie melancholijne  
najczęściej nie jest udane.

O jabłku ileż piosenek  
po świecie się wałęsa...  
Gdy idziesz do panienek  
nie jedz z czosnkiem mięsa.

Małe jabłuszka czerwone  
ozdobą są choinki...  
Gdy jesz kielbasy wędzone,  
Nie pytaj — z wieprza, czy z świnki.

W Ameryce istnieje miasto —  
„Big Apple“ ma przydomek...

Cóż to za pyszne ciasto  
z dodatkiem leśnych poziomek!

Jedz jedno jabłko codziennie  
a doktor nie będzie potrzebny...  
Jaż czuję się bardzo sennie,  
pisząc ten wiersz taki zgrzebny.

Jabłka jadają chorzy  
przy żołądkowych kłopotach...  
Naprawdę już sen mnie morzy,  
pracuję na wolnych obrotach.

Jabłko na całym świecie,  
to owoc naprawdę przedni...  
Ja myślę, że i wy wiecie,  
że taki wiersz — to garść bredni.

## NAGŁY ZWROT PRZEPAŚCISTY

Stała nad rzeką z rojem marzeń,  
na płatkach wróżyła z kwiatka,  
parę krwawiących serce zdarzeń —  
złamały już ją do ostatka.

Maryna wie, że nie jej moc,  
że gwiazd ręką nie strąci,  
ale gdy przyjdzie ciemna noc,  
aż w głowie coś się mąci.

Bywał tu u niej wiele razy,  
pod gruszą ją całował,  
zdawało się, że nie ma skazy,  
że wciąż będzie miłował.

Skąd to się wzięło takie coś,  
zwrot nagły, przepaścisty...  
A może to narzucił ktoś,  
być może duch nieczysty.

Jak nożem ciął, jak sierpem, czy siekierą —  
urwało się — jak połamana socha —  
nie zjawił się (tydzień dopiero)  
więc nie wie: kocha, czy nie kocha.

## ZWIASTUNY

Jaskółki w przyziemnym locie  
zwiastują deszcz po spiekocie.  
Chmury spływają wciąż niżej,  
kot leży i siebie liże.

Jakaś zagadka w przyrodzie:  
ryby pluskają się w wodzie,  
trzepocąc wciąż ogonami...  
Chmura już prawie nad nami.

Żaba na drzewie — kumka i kumka,  
kurczaki chowa kwoka-piastunka...  
Niebo zaciąga ciemnym ołowiem.  
A co bywa potem? Nie powiem.

Nie trzeba mówić, bo wszyscy wiedzą,  
gdy kury pod dachem siedzą,  
to deszcz, ulewa, pioruny...  
Toć były jaskółki-zwiastuny.

## KARCZMA

Latarnia przed szynku frontonem  
przyświeca szkarłatnym tonem,  
umizga się krzywo półgębkiem,  
uśmiecha się gołym pępkiem.

Na schodach podłoga skrzypi  
i mówi: wejdź, zabaw się, wypij, —  
a klamka, gdy dotkniesz ją ręką,  
zanuci karczemną piosenką.

Na drzwiach się złuszczyła farba,  
za mocno ktoś z gości je targał,  
aż się skrzywiły zawiasy...  
Kto drzwi te otwierał? Obcasy.

Nawet lemieszem je zdzielił  
rolnik pewnej niedzieli,  
aż szynkarz poróżnił się z żoną,  
która stanęła obroną.

Dobroci w tym domu nie szukaj,  
co powiesz, od razu odpukaj.  
Po kartach nikt nie wszedł do nieba,  
pijanych tam też nie potrzeba.

## ŁATWIEJ JEST PISAĆ, NIŻ CZYTAĆ

Napisać wiersz nie jest trudno,  
pozszywać słowa jak igłą,  
posklejać szybko, na brudno  
i czekać żeby zastygło.

Nałapać rymów w strumyku  
i przypiąć każdy gdzie trzeba, —  
sześćdziesiąt wierszy w tomiku  
jak kromek na stole chleba.

Stolarskim sposobem wygładzić,  
dać sporo mu politory,  
a między wierszami nasadzić  
sensu, nogami do góry

Poklepać w końcu młotkiem  
i przybić lotnicze skrzydło,  
zakręcić kołowrotkiem  
i będzie wiersz jak straszycło.

## PASIECZNIK

Chodził zawsze strudzony,  
postarzał od chodzenia,  
sam tu był, bez żony,  
posiwiiał od milczenia.

Do pszczoł wcześniej wstawał,  
prawie zawsze o świcie —  
i takie to było  
pasiecznika życie.

Miał w pasiece ławeczkę,  
wytartą od siedzenia,  
stąd widok miał na rzeczkę,  
zdziwaczał od patrzenia.

Zbierał miód, sprzedawał  
na potrzeby życiowe,  
raz kupił nawet buty  
i ubrał się w nowe.

I poszedł w nich do miasta  
na rynek w dzień jarmarczny...  
Z tęsknoty, czy z samotności,  
zaglądnął nawet do karczmy.

Spotkali tu go znajomi,  
przyjaciele z lat młodszych,  
wypili najpierw po jednym,  
a potem i — trzy po trzy.

Skarżył się im na samotność,  
na nieprzyjemne losy —  
aż przepił pasiecznik buty  
i poszedł do domu bosy.



## RYMOWANIE

Stwórzmy taką orkiestrę kukułczą,  
a świerszczom dajmy prima-skrzypce  
i osadźmy tę spółkę światoburczą  
gdzieś w ogrodzie na zielonej lipce.

Kto to wie co z tego nam wyniknie  
i co zespół taki da dla tego świata?  
Pewno świerszcz swym smykiem zaraz skrzypnie,  
że kukułka śpi wieczorem, a nie lata.

Może do świerszczy dobrać tylko sowę?  
Sowa nie śpi w nocy — tylko huka,  
ale że te głosy jej basowe,  
więc dostroić je do świerszczy będzie sztuka.

Chyba lepiej świerszczom dać solowe granie,  
a orkiestrę dzienną stworzyć z innych ptaków? ...  
Takie było świerszczy własne zdanie,  
chyba słusznie, bo nie ma lepszych od nich skrzypaków.

## PSIA DOLA

Cały dzień mży kapuśniaczek,  
ta pogoda nie dla praczek,  
pada coś jak gdyby rosa,  
prosto z góry, nie z ukosa.  
Ziemia wokół rozkiśła,  
chmura nad ludźmi zawisła.  
Patrzą przez okno maluchy, —  
nie widziały takiej pluchy.

Dziadek siedzi na przypiecku,  
nogi złożył po turecku.  
Fajkę kurzy, dymkiem pyka  
aż mu się porusza grdyka.  
Patrzy prosto, cicho siedzi...  
A synowa mleko cedzi,  
aż rozlała. Będzie heca,  
bo dziadek widział zza pieca.

Łysek drży, chociaż jest w budzie,  
psów nie rozumieją ludzie...  
Łańcuchem do budy przykują...  
Muchy na piecu nocują,  
a gdy nocna pora minie,  
muchy nadal na kominie  
i nikt much z pieca nie zgania...  
A psy drżą tam bez śniadania.

Taka jest ta pieska dola,  
albo rozkosz, lub niewola.  
Jeden z panią śpi jak w puchu,  
inny w budzie, na łańcuchu  
marznie, kuli się i zgrzyta...  
„Skąd ten los?“ — tak siebie pyta.  
Pyta, odpowiedzi czeka...  
Ta niewola — od człowieka.

## MIAZGA

Z głuchej pustki oddechu  
wyraz też bywa kruchy,  
nie sprzedawaj tanio śmiechu,  
nie na wszystko bądź głuchy.

Gdy słyszysz jak krew krąży,  
jak słowa ścigają się wzajem, —  
nie wiadomo kto zdąży  
tak biec, by stanąć przed gajem.

By zasiąść na trybunie  
i liczyć szyszki na sośnie:  
po francuskiej komunie  
dotąd płaczą żałośnie.

Kiedys będzie wiadomo  
ile było i czego:  
zjeżdzać będzie dość stromo  
i nie wiadomo co z tego.

Gdy się wprawi zbyt szybko  
w obrót swoje myśli,  
to z rosyjską „ułybką“  
wszyscy będziemy kiśli.

Pogubimy porteczki  
i koszule nocne,  
bo od grubszej sprzeczkii  
zostaje tylko to, co mocne.

## STO LAT!

Kalendarz wie dobrze ile lat minęło,  
wpisywania kresek nigdy nie zapomni,  
zapisuje zaraz, gdy tylko stuknęło,  
by wiedzieli współcześni, a nawet potomni.

Rocznice się zjawiają jak noc po dniu codziennym,  
jak liszki na kapuście gdy motyl przeleci,  
dźwiga te krzyżyki ten ziemski przechodzeń,  
jeśli sam przeoczy, przypomną mu dzieci.

A ile się uzbiera — ciągle mu za mało,  
nawet nie chce zakończyć gdy naliczy setkę,  
uczczą to tortem, wielkim, na rodzinę całą —  
i przypną dziadziusiowi pod brodą serwetkę.

Masz i ciesz się rocznicą, liczbą trzycyfrową,  
rzadko kto ma to szczęście tyle lat naliczyć...  
Dziadzio zdmuchnął świece i pokiwał głową:  
„Zapomnieliście dzieci jeszcze coś mnie życzyć“.

Mrugnął okiem znacząca do młodszej dziewczynki,  
która stała tu obok pośród gości wielu —  
„Ja tak lubię wesela, urodziny, dożynki, —  
chciałbym jeszcze potańczyć na prawnuczki weselu“.

## PRZEDŚWIT

Kryniczny chłodek w trawie łąk  
snem nocy jeszcze drzemał,  
żaden nie latał jeszcze bąk,  
bezgłośnie nadal niemiał.

Nie zbudził jeszcze żaden krok  
śpiącego w szopie kota,  
choć w lesie czaił się wciąż mrok,  
za lasem szła pozłota.

Jedynie ślimak, nocny skrzat,  
dopełzał do kryjówki,  
na ścieżce został po nim ślad,  
srebrzysta nić wędrówki.

I droga ta błyszczała już  
jasnością przedświtania —  
zobaczył to ten nocny stróż,  
co ścieżką szedł do spania.

## O ZMIERZCHU

Gdy dzień się kłoni ku nocy,  
słońce wciska się do lasu —  
ukośnie...

Myśl wtedy biegnie —  
ku wiosnie.

I widać  
jak słońce pełza promieniami  
po sośnie,  
a brzezinę  
podmalowuje na złoto.

Aż obniży się  
i wyrośnie —  
w dużą, czerwoną tarczę miedzianą  
i las purpurą ozłoci.

O tej porze  
łąka rosą się poci.

Jeszcze chwila  
i słońce się chowa,  
czar znika...  
Ucichną ptaki,  
z wyjątkiem słowika  
i hukającej sowy...

Noc obejmuje władzę  
w lesie...  
Szara godzina —  
marzyć chce się.

A wtedy  
wypływa pełnia  
i srebrem  
rozpełza się po lesie,  
a łąkę  
oblewa migotem  
na kulkach rosy.

Dolatuja tylko odglosy,  
dalekie i bliskie,  
psow wiejskich szczekania  
i hukania sowy:  
harmonia  
kazdej nocy grana.

I tak juz do rana.

PRZEPIS  
(Chować od dzieci)

Wszyscy wiedzą, że w lecie są domowe muchy,  
ich brzęku nie zna ten, kto jest zupełnie głuchy.  
Lecz tu chodzi o to, że ta mucha jest tak dokuczliwa,  
jak któraś sąsiadka bardzo gadatliwa.  
Ale to nic. Jest na to sposób skuteczny,  
choć tam, gdzie są dzieci — bardzo niebezpieczny.  
Wiadomo, że dziecko zawsze robi starania,  
by zdobyć to, co mu najbardziej się zabrania.  
Otóż, zmierzając do samej rzeczy sedna,  
komu mucha dokucza, jest na to rada jedna.  
Trzeba pójść do lasu, kiedy na to jest pora,  
znaleźć i przynieść do domu muchomora,  
położyć go na talerzyku, mając trochę mleka pod spodem,  
poproszyć go cukrem, albo polać miodem.  
Niech stoi na stole i czeka na muchy,  
uważać tylko, żeby nie był suchy.  
Ten przepis jest skuteczny bardzo dla tych  
wdów, wdowców, kawalerów i bezdzietnych żonatych —  
i tych, co w bankach pieniądze chowają,  
a w oknach swego domu wcale siatek nie mają.



IX

SIELANKA

## NIE WIADOMO SKĄD

Jak to się stało, że w wieku tym gdy trzeba  
tylko patrzeć gdzie jest odpoczynek,  
nie wiem skąd to przyszło, z ziemi, czy z nieba —  
tyle słów usługnych — zleciał do mnie młynek.

Lecą one do okien — rano gdy się budzę,  
zdyszonym warkotem o okna się tłuką,  
siedzę godzinami, niewolniczo się trudzę,  
by je poustawić wierszowaną sztuką.

Szukają u mnie śmierci, pogrzebu na papierze,  
wprasza się do druku jak szpaki na łąkę, —  
za dużo ich, — często chęć mnie bierze  
puścić na te słowa ziemniaczaną stonkę.

Biorę, bo nie umiem zbyć tego nawału,  
nie wiem jak te skrzydła słowom-motyłom opalić,  
przystępuję więc do nich — ostrożnie, pomału,  
by — jak worki kartofli — na ziemię nie zwalić.

By słów nie obrazić, nie stracić zaufania, —  
ustawiam je rzędami, jak wojsko w ordynku,  
potem pojedynczo każdemu się kłaniam —  
i wychodzą wiersze z bezładnego młynku.

## POD MOJĄ KOMENDĄ

Tak już chyba być musi,  
na samą myśl już truchleję,  
pewno diabeł mnie kusi,  
choć wół już bieje.

Muszę chwycić za pióro,  
trudny dla mnie to temat,  
chmurno dziś i ponuro,  
lecz to mój jest dylemat.

Patrzę w niebo jak w okno,  
widzę błysk jak na brzeszczu,  
aż żal patrzeć jak mokną  
te tam słowa na deszczu.

Wejdźcie do mnie, druhowie,  
drzwi otwarte są dla was...  
Co to? Aż takie mrowie?  
Aż zaskrzypiał w drzwiach zawias.

Muszę coś z wami począć, —  
siądźcie — tu są fotele,  
trzeba najpierw odpocząć,  
bo was na raz za wiele.

Cały dzień i noc całą —  
i tak długie miesiące —  
coś się zrobić udało,  
słowa są już w tej książce.

## JAK DO TEGO DOSZŁO?

Szło się dziwnie przez świat —  
ja — i ze mną drogi szmat.  
Były kałuże i burze,  
pracowało się łopatą i w biurze.  
Była też duchowa żonglerka,  
wspólnota i kawalerka.  
Zrobili też ze mną próbę  
na cierpliwość, czy na zgubę.  
Przeszło się przez most,  
prawie w piekło ... Wprost.  
A potem znów droga i przesiadki,  
od niewiadomej, do zagadki.  
Pytałem się samego siebie —  
kiedy się z tego wygrzebię?  
Zgubiła się prosta droga,  
nie było domu, tylko podłoga.  
Od myślenia i planowania  
głowa urosła jak bania.

W tej dużej głowie,  
choć było pomysłów mrowie, —  
leżały wszystkie pokotem,  
żaden na teraz, wszystkie na potem.  
Jedno to „potem“ w końcu chwyciłem  
i w Stanach się osiedliłem.

## VIRGO

Sierpniowo-wrześniowy odcinek  
niebieskiego zodiaku, —  
panno wszystkich dziewczynek  
urodzonych spod tego znaku.

W tym czasie tak się stało,  
że wśród urodzin wielu,  
niebo wydać zechciało  
i Ciebie, dozgonny przyjacielu.

Ten bukiet z piętnastu kwiatów,  
goździków biało-czerwonych —  
i suknię z złotego brokatu  
daruję Ci, z moim ukłonem.

Wiersz ten — na ostatniej stronie  
tej mojej umieszczę książeczki...  
Aż do sześćdziesiątej rocznicy  
dożyliśmy bez małżeńskiej sprzeczki.

Tam, gdzie się spotkamy ponownie,  
też bądź ze mną i bądź miłą,  
a tu tylko zostawię po mnie  
spisane w książeczkach — jak było.

Tegoż autora:

*Gniazda jaskółcze*, Londyn, 1970 (wyczerpane).

*Modrzewiowy dom*, Londyn, 1971.

## SPIS TREŚCI

	Str.
<b>I. PO MUCH BRZĘCZENIU</b>	
Na krakowskich błoniach ... ..	7
Onego czasu ... ..	8
Po much brzęczeniu... ..	9
Pajęczyna ... ..	10
Wielkanocna pora ... ..	11
Poezja ... ..	12
<b>II. ZMAGANIA</b>	
Rzeczpospolitej ... ..	15
Co nam powiedzą? ... ..	16
Bądź pozdrowiona! ... ..	17
W Anglii ... ..	18
Zawsze w nocy ... ..	19
Bez porównania ... ..	20
Dom rodzinny ... ..	21
Bezdomny ... ..	22
Pozostało tylko w pamięci ... ..	23
<b>III. NA BRZOZOWEJ KORZE</b>	
Wierzę ... ..	27
Pina ... ..	29
Pohulanka ... ..	30

Szeptem, z pamięci	... ..	31
Jagody w lesie	... ..	32
Rzeka w nocy	... ..	33
Podlewanie	... ..	34
Tak było	... ..	35
Święto sadzenia drzew	... ..	36
Witaminy żywe	... ..	37
Obrazki z poleskiej wioski		
Jesień	... ..	38
Polowanie	... ..	39
Zaduma	... ..	39
Wieczorynki	... ..	40
Lebioda	... ..	41
Nocleg	... ..	42
Dwa wiersze o cyganach		
Tradycyjny	... ..	43
Nowoczesny	... ..	43
Biały lasek	... ..	45
Chleb w drodze do domu	... ..	46

#### IV. DOKĄD MYŚL SIĘGA

Rybak	... ..	49
W imię istnienia	... ..	51
Maki i burza	... ..	52
Spacer	... ..	53
Sąsiedzi	... ..	54
Asfaltowa droga	... ..	55
Jeszcze raz	... ..	56

#### V. WROTNIE DUSZY

Odmiana	... ..	59
Planowanie	... ..	60
Jak zdmuchnięta świeca	... ..	61
Świtanie	... ..	62
Kto pił wodę źródlaną?	... ..	63
Tęcza	... ..	64
Wróżba	... ..	65
Obcowanie	... ..	66
Nowe gospodarstwo	... ..	67



Niewola	...	...	...	69
Łóżko	...	...	...	70
Wrotnie duszy	...	...	...	71
Gruszki suszone	...	...	...	72

## VI. ODWAŻNIE

Dwunóg	...	...	...	75
Wymagania	...	...	...	76
Owies	...	...	...	77
Porównanie	...	...	...	78
Pokwitowanie	...	...	...	79
Co nas czeka?	...	...	...	80
Analiza	...	...	...	81
Wojna	...	...	...	82

## VII. WIATRY

Huragan	...	...	...	85
Burza	...	...	...	87
Wicher	...	...	...	89
Wiatr	...	...	...	91
Zefir	...	...	...	93

## VIII. FRASZKI I IGRASZKI

Decyzja	...	...	...	97
Trzy drzewa	...	...	...	98
O jabłku	...	...	...	99
Nagły zwrot przepaścisty	...	...	...	101
Zwiastuny	...	...	...	102
Karczma	...	...	...	103
Łatwiej jest pisać, niż czytać	...	...	...	104
Pasiecznik	...	...	...	105
Rymowanie	...	...	...	106
Psia dola	...	...	...	107
Miazga	...	...	...	108
Sto lat!	...	...	...	109
Przedświt	...	...	...	110
O zmierzchu	...	...	...	111
Przepis	...	...	...	113

## IX. SIELANKA

Nie wiadomo skąd	...	...	...	117
Pod moją komendą	...	...	...	118
Osobisty wiersz — z podpisem	...	...	...	119
Jak do tego doszło?	...	...	...	120
Virgo	...	...	...	121
Tegoż autora	...	...	...	122